

O grabieniu czasu

z Leszkiem Żulińskim rozmawia Mirosław G. Majewski

Mirosław G. Majewski: – Kim dla Ciebie jest Leszek Żuliński?

Leszek Żuliński: – Ha! To pytanie, na które nie mam gotowej odpowiedzi. Na pewno nie jestem narcyzem, ale mam pewne poczucie pewności siebie. Czyli wierzę, że to, co zrobiłem ma swoją wartość. Ale też gdybym miał „repetować” życie – nie wszystko bym powtórzył. Wiele błędów i głupstw popełniłem, wielu bym się wystrzeżał. Widzę także w sobie liczne sprzeczności, np. „ekstrawertyczną introwertyczność”. Niezbyt siebie lubię. Ale nie jest też tak, żebym siebie nienawidził. Innymi słowy Leszek Żuliński we mnie jest kimś niejednoznacznym, nie do końca znanym, nie do końca akceptowanym, lubimy się chyba, ale bez przesady; on mnie często wkurza, a ja nie zawsze z nim wygrywam. Jednym słowem, to dziwna znajomość.

– **No, to bardzo ciekawa odpowiedź. Trochę mnie zaskoczyłeś. Dlaczego? Myślałem, że taką ambiwalentną opinię na swój temat, mam tylko ja. Skoro już tyle wiemy o sobie, zapytam, jaki wpływ na Twoje życie miała i nadal ma literatura?**

– Absolutnie zasadniczy. Pierwsza moja publikacja ukazała się w 1971 roku. Miałem wtedy 22 lata; było to niemal 40 lat temu. Przez te lata i moje życie, i moja praca w rozmaitych redakcjach były podporządkowane pisaniu. Ono stało się po prostu zawodem. Ale w tej „branży” pracuje się dwadzieścia cztery godziny na dobę, jak wiadomo. A więc literatura mnie „określała”, a ja wiecznie wokół niej się „kręciłem”. To także spowodowało – co oczywiste – że żyłem w szczególnym środowisku. Dziś zastanawiam się, na ile z tego powodu egzystowałem poza „normalnym”, codziennym życiem? A może było na odwrót – czyli poznawałem je lepiej w wymiarze aksjologicznym, choć nie pragmatycznym? Dziś ucpełem się takiej koncepcji, że istnieją poprzez TEKST. I ten TEKST jest genem, który po sobie pozostawia. Nie wiem, na ile jest lub będzie on wartościowy, może za dużo mam nadziei, ale jak żyć, jak pisać bez niej?

– **Jesteś chyba zaprzeczeniem powiedzonka Krytyk i eunuch z jednej są parafii, obaj wiedzą jak, żaden nie potrafi. Moim zdaniem, doskonale sprawdzasz się i jako krytyk (poczułem to na własnej skórze w 1995), i jako poeta. Jak Ty to pogodziłeś z sobą?**

– Ach, to przecież znana fraszka Boya... Oczywiście, jak to fraszka – zgrabna, wdzięczna, śmieszna, lecz niekoniecznie prawdziwa. Mógłbym Ci wymienić dziesiątki nazwisk krytyków, którzy uprawiali poezję i poetów, którzy uprawiali krytykę, i to z dobrym efektem. Tzw. wielowarsztatowość nie jest niczym wyjątkowym. Nie musiałem zresztą niczego godzić – to było we mnie integralne. Zaczynałem od poezji, jak większość, potem wspomniana już praca w redakcjach

„wymusiła” na mnie „robotki” recenzenckie i w ogóle pisanie o literaturze; odbiło się to na poezji – do roku 1986 wydałem trzy tomiki wierszy i... zamilkłem. Kolejne tomiki zacząłem pisać i wydawać dopiero od roku 2006, czyli ocknąłem się po dwudziestu latach przerwy. Oczywiście zostanie po mnie więcej tekstów krytycznych niż poetyckich, jednak do siebie-poety przywiązuję większą wagę; mam teraz w wierszach więcej do powiedzenia niż w szkicach i mam nadzieję, że ta szala ostatecznie przeważy. Nie ilościowo, lecz „wartościowo”. Zresztą po co mnie o to pytasz? – sam przecież piszesz i wiersze, i prozę, a nawet monodram ostatecznie popełniłeś...

– **Dwadzieścia lat przerwy to bardzo dużo. Z tych Twoich wcześniejszych wierszy, najbardziej mi utkwił wiersz pt. *Rozmowa grabarza z Hamletem*, a szczególnie jego końcówka. Pamiętasz to?**

– Jasne, że pamiętam. Ten akurat wiersz był utrzymany w poetyce, którą najbardziej lubię u innych i u siebie. To jest poniekąd kontynuacja Herbertowskiego modelu wiersza, co nie znaczy – rzecz jasna – że przyrównuję się do Mistrza.

– **Dla mnie końcówka *Rozmowy grabarza z Hamletem* jest nie tylko poezją, ale... No właśnie, czy to jakiś manifest? Recepta na filozofię dnia codziennego? A może proroctwo? Piszesz: *Mój drogi / niewątpliwie obaj mamy rację / ja i ty – dla siebie / i niech już tak zostanie... Mamy wtedy rok 1975, za pięć lat powstanie Solidarność, za 14 lat upadnie komunizm, nastąpi niesamowita polaryzacja społeczeństwa i... czy niewątpliwie wszyscy mamy rację?***

– Chyba „nadinterpretujesz” ten wiersz, choć – oczywiście – po latach mógł on nabrać nowych treści, wejść w inne konteksty. Kiedy go pisałem, nie miałem pojęcia, co będzie za 14 lat i w ogóle nie myślałem o tym. W ogóle nie miałem w głowie żadnych treści politycznych. Raczej chciałem tym tekstem „wejść w skórę Hamleta”, pogadać z nim o losie, o przeznaczeniu. Te „obie racje” w końcówce tekstu – to racje osobiste, subiektywne. Bo właśnie w tym rzecz, że każdy ma swoją rację. Przecież ten wiersz nawiązuje do *Trenu Fortynbrasy* Herberta, a tam padają słowa: *...żyjemy na archipelagach* – bo żyjemy, każdy na osobnej wyspie, każdy ze swoją racją.

– **A propos Herberta czy innych Mistrzów. Ja od lat odczuwam potrzebę bycia u boku Mistrza, jako uczeń, czeladnik... Nie ukrywam, że jednym z takich Mistrzów jest Leszek Żuliński, zresztą piszę o tym w swojej powieści. A czy Leszek Żuliński ma też swojego Mistrza, czy raczej jest mistrzem sam dla siebie?**

– Dziękuję Ci, Miruś, za miłe słowa pod moim adresem. Głupio mi trochę, bo do roli mistrza na pewno nie dorastam. Ty miałeś taką sytuację, że pisząc swoją debiutancką *Performance*, wchodzi-

łeś zupełnie z *offu* do literatury, nie znałeś ludzi, nie miałeś „branżowej” kindersztuby; ja Ci się napatoczyłem – to mi się i rola mistrza trafiła. Jeśli Ci w czymkolwiek pomogłem, to wspaniale.

Ale uogólniając: mistrzowie są potrzebni; zwłaszcza w młodości – cenni. Dla mnie był nim Grochowiak i ten model poezji. Prace magisterską napisałem o Bursie – ten wybór świadczył, jak poszerzało się spektrum moim gustów. A potem poszerzało się stale i stale. I to jest proces naturalny oraz zdrowy. Mistrzów na ogół nie zdradzamy do końca życia, ale jednak powinniśmy się od nich uniezależnić, żeby nie być epigonami, a już – nie daj Bóg! – naśladowcami. Możemy pozostać kontynuatorami jakiegoś wzoru, ale koniecznie wnoszącymi weni swoje *ego*.

Dziś mam mistrzów swojej młodości i brak mi mistrzów mojej „starości”. Jednak Leśmian, Herbert, Grochowiak, Nowak, późny Iwaszkiewicz, kilku innych – pozostają w czułym miejscu moich lektur. Z żyjących polskich poetów za „największych” uważam Różewicza i Krzysztofa Gąsiorowskiego. Bardzo wysoko cenię Zbyszka Jerzyńskiego, Andrzeja K. Waśkiewicza, Bohdana Zadurę, zaś w moim pokoleniu mam wielu kolegów, których uważam za wspaniałych.

A sam dla siebie mistrzem? Haha! Ja naprawdę jestem facet skromny i w życiu nie przyszedłoby mi to do głowy. Raczej uważam, że jak na wymogi najwyższej klasy poezji jestem zbyt mało oryginalny, „osobny”.

– **A teraz o literaturze i polityce. Większość obecnych twórców odczuwa boleśnie brak mecenatu państwa. Czy w czasach problemów gospodarczych państwo powinno jednak dofinansowywać kulturę, czy raczej pozostawić ją samej sobie?**

– Zdecydowanie uważam, że powinno ją dotować. Kultura, zwłaszcza ta „wysoka”, z trudem radzi sobie na skomercjalizowanym rynku. A politycy powinni rozumieć, że ona „się zwraca”. Nakłady na nią, sponsoring, mecenat procentują wyższym stopniem edukacji i świadomości społecznej. Społeczeństwo odczytane, wrażliwe na wartości „duchowe” i intelektualne, postrzegające relatywizm wielu z nich (co nie znaczy: nihilizm), czule na niuanse oraz aksjologiczne konteksty życia i losu – to społeczeństwo mądrzejsze, o rozbudowanym stopniu świadomości, także nowocześniejsze i kierujące się innymi – niż przyziemne lub trywialne – motywacjami. W ostatnim okresie widać jak na dłoni Polskę kołtuńską, zaściankową, zadufaną, bigoteryjną, postsarmacką, podzieloną przez Sienkiewicza i Gombrowicza, tonącą w dwóch – niekoniecznie muszących się pozabijać – odmiennych modelach patriotyzmu... Myślę, że politycy, którym to nie przeszkadza, są szkodnikami. Ci, którzy mają wizję lepszej Polski, nie mogą – po prostu nie mogą! – skazywać kultury wysokiej na koczowanie w ciasnych niszach.

(Dokończenie na stronie 4)